Nr. 9 (1623) Warszawa, 2 marca 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

W rocznicę Kołłątajowską.

(1812 — 1912)

Katastrofa dziejowa, która w ostatnim dziesięcioleciu XVIII wieku zwaliła gmach państwowy Rzeczypospolitej, przerwała gwałtownie pasmo jej tradycji, grzebiąc pod gruzami i robotników i ich prace. Ruiny tego zaginionego świata oplotła legenda. Zmartwychwstają w niej świetlane postacie męczenników i bohaterów, czarne upiory zdrajców i zaprzańców. Jednych wieńczy aureolą świętości, na drugich rzuca klątwę potępienia fala uczuć, które w momencie owego wielkiego kataklizmu wezbrały.

Atoli wśród grona aktorów tego wstrząsającego dramatu, który zamknął dzieje niepodległego państwa polskiego, jest w szczególności jedna postać, z którą legenda nigdy sumarycznie nie mogła się porachować, gdyż nie zdołała jej pomieścić ani w grupie czarnych potępieńców, ani w chórze białych duchów anielskich i ofiarnych.

Tą postacią jest Hugo Kołłątaj.

Imię jego zbyt ściśle jest związane z tym wszystkim, co w dobie upadku państwa dla ocalenia jego bytu podjęto, aby można go było wyosobnić z grona ludzi, których cześć powszechna otacza. Był on pomiędzy nimi osobistością pierwszorzędną; nikt z towarzyszy pracy nie przewyższał go ani mądrością polityczną, ani talentem organizacyjnym, ani energją. Zasługi jego muszą być bezsporne, jeśli wogóle ma być mowa o zasługach tych, którzy sądząc, że kreślą plan odrodzenia narodu, pisali tylko jego testament.

Ale Kołłątaj był niesympatyczny współczesnym i takim pozostał dla potomnych. Naród nasz zawsze wyżej ceni ludzi gorejących uczuciem niż mądrych; najbardziej zrozumiała dla niego wielkość, to wielkość serca, najszczytniejszą cnotą, cnota męczeństwa, zrezygnowana, niepokalanie bezinteresowna i ofiarna.

Oskarżano go, że byłby się sprzymierzył z djabłem, aby tylko dojść do władzy. Był to zarzut niesłuszny; do przymierza z djabłem wszyscy mieli wówczas drogę otwartą i niejeden z niej korzystał. Jeżeli Kołłątaj zawsze wchodził raczej w przymierze z tymi, którzy dla zbawienia, nie dla zguby kraju pracowali, to świadczy, że władzę i swój w niej udział uważał także tylko za środek do dźwigania z upadku tej nieszczęsnej ojczyzny, o której los nigdy nie przestawał się troszczyć, nawet wtenczas, gdy ona odwróciła się od niego, pogrążając go w osamotnieniu i skazując na upokarzającą bezczynność.

Dziś po stu latach, czytając pisma Kołłątaja i śledząc bieg jego czynów, notowanych w historji, trudno nawet zdać sobie sprawę, jak mógł do nazwiska jego przylgnąć przydomek polskiego jakobina.

W czasie, gdy we Francji tron obalano, on słaby tron podpierał, gdy tam ogłaszano wszechwładztwo ludu, on żądał udziału w prawodawstwie tylko dla właścicieli gruntów, a szlachciców nieposesjonatów z sejmików usuwał, gdy tam tak radykalnie zrywano z tradycją religijną, że kasowano nawet święta, zmieniano kalendarz i rachunek ery — on szukał zawsze złotego środka między fanatyzmem a niedowiarstwem, oba uważając za równie niebezpieczne. Wraz z innymi twórcami Konstytucji Majowej oskarżony równocześnie o zaprowadzenie absolutyzmu i demokracji, ani na jeden, ani na drugi zarzut nie zasługuje, nietylko z obecnego, lecz i z owoczesnego punktu widzenia. Radykalniejsze doktryny wyznawał i głosił w tym samym czasie Staszyc, a wśród szlachty sejmikowej nie brakło przecież głosów, które wytykały konstytucji, iż zamało uczyniła dla

włościan. Dlaczegóż tedy cały wulkan nienawiści reakcjonistów wybuchał nad głową Kołłątaja?

Ażeby ten dziwny objaw zrozumieć, trzeba poszukać dla niego analogji w naszych czasach. I dziś, tak jak przed stu dwudziestu laty, dobroczyńców ludu przeraża myśl, że lud mógłby się bez nich obejść, nie czekając łaski, sam się o własne szczęście postarać. Prawa dla mieszczan, ulgi dla kmiotków uciśnionych, te hasła bez wielkich trudności wnikały do serc i głów szlachty, ale rozumiała je ona tylko, jako piękne pole do dobrych uczynków dla siebie.

Wszelki samodzielny ruch w miastach i siołach poczytywała ona za zgrozę, a gdy nie mogąc się doczekać urzeczywistnienia obiecanych i zaprzysiężonych swobód, chłopi i mieszczanie tu i owdzie burzyć się zaczynali, król pod naciskiem opinji szlacheckiej poskramiał ich surowo i nawoływał do obowiązku wdzięczności dla szlachty tak wspaniałomyślnej w swych uchwałach, choć tak nieskwapliwej w wykonaniu. Wtedy sypały się gromy oskarżeń na głowę podkanclerzego „autor nieszczęść kraju“, — jak się wyraził kasztelan Czetwertyński, nie jedyny i nie ostatni, który nieszczęście kraju ze swoją utożsamiał stratą.

Istotnie z pomiędzy ówczesnych prawodawców nikt inny tylko **Kołłątaj nie poprzestając na reformie z góry, wszczynał ruch reformatorski z dołu.** On założył, pierwszy w Warszawie klub polityczny, z którego szerzyła się agitacja wśród mieszczan, on to był inicjatorem wielkiego zjazdu przedstawicieli miast w Warszawie, on autorem złożonego przez nich sejmującym stanom memorjału, który zrobił tak potężne na posłach wrażenie, że czemprędzej nobilitować pospieszyli wszystkich wybitniejszych przywódców ruchu, aby tym łagodnym środkiem zażegnać widmo wojny domowej. On wreszcie w dzień ogłoszenia ustawy rządowej zmobilizował cały lud warszawski, zapełnił nim zamek, dziedziniec, ulice przyległe, chcąc wywrzeć nacisk na opinję przez tę imponującą choć pokojową manifestację. Co gorsza, w jego projekcie *Prawa politycznego* była myśl powszechnego uzbrojenia mieszczan, jak dzisiaj powiedzielibyśmy — milicji miejskiej, a choć celem jego było tylko zwiększenie tą drogą pogotowia wojennego Rpltej, szlachta wystraszona wieściami z Paryża, ze wstrętem tę myśl odpychała. Strach ma wielkie oczy: „Lękam się, aby gmin nie dawał nam rządu“, pisał Tadeusz Czacki na wieść o Konstytucji, która gminowi przyznawała tylko prawa człowieka, a nie dozwalała mu marzyć o prawach obywatela.

Na tle tej ogólnej słabości, dobrotliwego niedołęstwa, poczciwej lękliwości, Kołłątaj — jedyny człowiek twardy i mocny, człowiek o trzeźwej głowie i sprężystej dłoni, musiał budzić więcej niepokoju niż uwielbienia.

Może wybaczonoby mu wszystko, gdyby niezmordowane jego zabiegi uwieńczyło powodzenie. Zwycięstwo pokrywa nietylko błędy lecz i winy. Ale on był w położeniu architekta, który gmach swój stawia na piasku. Wszystko, do czego rękę przyłożył, w gruzy się waliło, nie przeto, żeby budowa była zła, lecz gruntu brakło i pora nie sprzyjała.

Gdyby był istotnie tak bezwzględnym, jak go malowano, gdyby nie licząc się z opinją niechętnych, oparł się na tych, których do życia zbu-

---

ECHA PRAWDY.

Od Kołłątaja do Zimmermana.

Wydział filozoficzny Uniwersytetu Krakowskiego zapowiedział uroczysty obchód rocznicy śmierci Kołłątaja. Jestto dla tej instytucji wprost nakazem przyzwoitości, spłaceniem długu zaciągniętego przed wiekiem. Dzisiejsza wszechnica Jagiellońska Kołłątajowi zawdzięcza swe istnienie, to jest swe przetrwanie aż do naszych czasów. Dwukrotnie dźwigał on ją z ruiny. Raz gdy z ramienia Komisji Edukacyjnej odnawiał jej zniszczoną i walącą się w gruzy gotycką budowę, drugi raz, gdy zdewastowaną powtórnie przez zabór austryjacki, po wcieleniu Krakowa do Ks. Warszawskiego w 1809 roku powierzona została jego opiece na zlecenie księcia Józefa Poniatowskiego. Warszawska Izba Edukacyjna niechętnie patrzała na te zabiegi, dążąc do skoncentrowania w swych ręku kierunku całego wychowania publicznego. Był zamiar skasowania Szkoły Głównej krakowskiej, podniesienia liceum warszawskiego do rzędu akademji. — Oparł się temu Kołłątaj i postawił na swojem. W tymże czasie w Krakowie powołał do życia Akademję Umiejętności do dziś istniejącą. Może i Akademja pomyśli o uczczeniu swego ojca. Wszakże pobożny hrabia — prezes chyba nie zapomni przykazania „Czcij ojca i matkę swoją“?

Trudno zaprzeczyć, że w biegu wydarzeń tkwi nieraz dziwna ironja. Czasem rodzice wypierają się swych dzieci, gdy te skłaniają się do zbyt czerwonych sztandarów; tu może dziecko zaprzeć się zechce zanadto czerwonego ojca?

Pierwszy krok.

Rozdział Kościoła od Państwa nierychło, jak się zdaje, u nas nastąpi pod względem prawnym; rozdział Narodowości i Kościoła już się dokonywa.

Pierwszy krok w kierunku tej separacji zrobiły warszawskie koła klerykalistyczne, grupując się w ścisłą rzeszę, odgraniczoną dość wyraźnie od reszty społeczeństwa. Powstał nawet projekt odrębnego stronnictwa katolickiego, który nie doszedł na razie do skutku.

Jeśli dotąd nie istnieje stronnictwo tego rodzaju, to istnieje zato koterja katolicka, której staraniem odbyło się kilka wieczorów dyskusyjnych.

Uczestnicy tych zebrań podnoszą z tryumfem ich doskonałą harmonję i zapał religijny, poglądają też z otuchą, a nawet wyzywająco, na obóz „niedowiarków“ i wolnych myślicieli.

Ci ostatni zaś mogą im taką dać odpo-wiedź.

dził, z nich stworzył siłę, owładnął ją i śmiałe plany wykonał — możeby dziś stawiono mu pomniki.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Śmierć hr. Aehrenthala — Bombardowanie Bejrutu — Mekka przeciw Stambułowi — Groźba olbrzymiego bezrobocia — Asquith rozjemcą).

Z widowni politycznej zniknął dość niespodzianie jeden z najwybitniejszych współczesnych mężów stanu — hr. Alojzy Aehrenthal. Rozpowszechnia się teraz przekonanie, że od czasów Metternicha nie miała monarchja habsburska równie wybitnego i zasłużonego ministra. Paryski *Temps* żegna tymi słowy nieboszczyka, który przed paru laty dał politykom z Quai d'Orsay twardy orzech do zgryzienia: „Minister, który wczoraj rozstał się z tym światem, dodał do dziejów Austrji osobną kartę. Nie czyniąc bynajmniej przewrotu w polityce, aprobowanej przez monarchę od roku 1866 i uwieńczonej sojuszem austroniemieckim oraz Trójprzymierzem, hr. Aehrenthal był działaczem twórczym. Nie zadowolnił się on dla swego monarchy i swego kraju nikłą cokolwiek rolą „świetnego [illegible] pięknym sukcesem opromienił schyłek długiego panowania, któremu przypadło w udziale wiele klęsk i ciosów niezasłużonych. Duch polityczny Austrji zawdzięcza hrabiemu swoje jakby odmłodzenie; podniósł on go bowiem ponad bezpłodne spory wewnętrzne, natchnął go znów dumą i zaufaniem. Minister, który podniósł w ten sposób autorytet moralny swego kraju, był mężem stanu w całej pełni tego słowa i Austrja winną mu jest wdzięczność rzetelną".

[illegible] włosko-tureckiej, po długim zaciszu, zaszedł wypadek, który sławie militarnej Włoch wątpliwe przysporzy laury. Dwa krążowniki włoskie zatopiły strzałami w porcie Bejrutu, w Syrji, dwa stare i prawie bezbronne statki tureckie. Kilka pocisków padło przytym na miasto, ścieląc na ulicach paręset osób rannych i nieżywych.

Wypadek ten wywarł przykre wrażenie nawet poza granicami Turcji. Miasto Bejrut, liczące 120 tys mieszkańców, w czym 80 tys. chrześcian, tworzy centrum handlu międzynarodowego, w którym zwłaszcza Francja i Anglja wielką grają rolę. Napad włoski na miasto nieufortyfikowane wydał się opinji tych państw pośrednim zamachem na ich interesy; *inde irae*. W Stambule, pod pierwszym wrażeniem gniewu, chciano wydalić wszystkich Włochów z granic państwa, represje te jednak, po namyśle, zastosowano jedynie do Włochów syryjskich.

Wobec takiego efektu działań floty włoskiej pod Bejrutem, Rzym pospieszył zapewnić, że miasta wcale nie bombardowano. Zarazem jednak rozległy się w prasie szowinistycznej głosy, puszczone zapewne jako *les ballons d'essai*, by akcję wojenną przenieść na Archipe- [illegible] że rząd włoski rądby sprowokować pośrednio interwencję mocarstw i w ten sposób koniec niechlubnej dla siebie wojny przyspieszyć.

Podczas gdy armja okupacyjna, licząca 140 tys. ludzi, tkwi w Trypolisie bezczynnie, zwrócono nad Tybrem baczną uwagę na pobliską Arabję, skąd przyjść może pożądana dla Włoch dywersja.

Wiadomo, że spora część Arabji od pewnego cza- [illegible] zaś tego kraju żywi ku sułtanom religijną lub polityczną niechęć. Walki w Jemenie trwają lat 10 bez mała z niewielkim dla wojsk tureckich sukcesem.

Oddawna Mekka szykuje się do boju ze Stambułem; Arabja, pomnąc świetną swą przeszłość, pragnie [illegible] powany. Posiadając na ziemi swej dwa święte miasta — Mekkę i Medynę — przechowała dotąd niewygasły zapał religijny, i jeśli może być mowa o odrodzeniu religji muzułmańskiej — to wątpliwości nie ulega, że wyjdzie ono z jej piaszczystych równin, z pośród plemion arabskich, na których wieki żadnego jeszcze nie wywarły wpływu.

Z chwilą wybuchu wojny zdawać się mogło, że cały Islam, nie wyłączając heretyckiej Persji, skupi się pod sztandarem tureckim. Rzeczywistość zadała kłam tym oczekiwaniom: antagonizm turecko-arabski, po pewnym czasie, z nową wybuchnął siłą. Gubernator turecki Je-

---

— Widok ludzi, zrzeszonych swobodnie i dobrowolnie pod godłem idei religijnej, bardzo nam jest sympatyczny. Odpowiada on w zupełności naszej teorji wolności sumienia i myśli. Nic w tym niema takiego, coby nas mogło trwożyć lub zbijać z tropu. Przeciwnie: cieszy nas bardzo sukces waszych dyskusji religijnych...

Lecz wy, kanonicy i prałaci, szalony uczyniliście krok, wprowadzając waszą czeladkę na grunt tak niebezpieczny. Przypatrzcie się tej dyskutującej młodzieży, a uśmiech zniknie wam z ust.

Toć wszelkie rozumowane pojęcie wiary jest już zarodkiem herezji, jest jak niebezpieczny, zabójczy dla Kościoła mikrob. U drzwi waszych zebrań dyskusyjnych czyha modernizm; wyklęty przez papieża pragmatyzm przykucnął w jednym kącie, a w drugim stanął „imanentyzm" z „racjonalizmem" pod ramię. Poddajcie przemowy młodych pupilów ścisłej analizie: roją się one od herezji i „błędów". A co będzie potym?

Ano, możemy to z całą pewnością przewidzieć. W najlepszym dla was wypadku powstanie grupa modernistów polskich, z którą będziecie mieli dużo kłopotu. Nie jest też wyłączone powstanie nowej sekty. W każdym bądź razie wielce pouczający i znamienny jest widok owych kilkunastu osób, które czują jakąś wewnętrzną potrzebę usprawiedliwienia się przed sobą ze swych szczerze katolickich uczuć. Lat temu dziesięć ten stan rzeczy trudny byłby do pomyślenia. Dziś nikogo jakoś nie razi, a w obozie klerykalistycznym budzi nieopatrzną radość.

Jesteśmy więc na prostej drodze ku separacji Kościoła i Narodu. Dziwnym zbiegiem rzeczy drogę ową gorliwcy katoliccy własnymi torują rękami. Winniśmy im za tak pożyteczny czyn szczerą i dozgonną wdzięczność.

Polska może się obejść bez Gambetty; historyczną jego rolę wziął na się hr. Sobański z panem Dworzaczkiem, a bardem ich jest p. Wincenty Kosiakiewicz.

(Orjon).

Sprawa polska w Ameryce północnej.

Dotąd o życiu Polonji Amerykańskiej, tak licznej i szybko rozwijającej się, wiedzieliśmy jeno ze wzmianek, korespondencji... a najczęściej z t. zw. „kaczek" dziennikarskich, to też niezmiernie pożyteczną książką dla szerszych kół naszych rodaków będzie źródłowa publikacja wydana przez niedawno powstałe na ziemi Waszyngtona — „Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów polskich", a nosząca tytuł wymieniony w nagłówku naszej notatki. Jest to duży tom, na którego treść złożyły się prace zbiorowe najwybitniejszych sił

menu poniósł ostatnio klęskę od powstańców arabskich, których przywódca, Said Idrys, pragnie podobno zasiąść w Mekce na tronie kalifów. A ponieważ jednocześnie zniszczyli Włosi eskadrę turecką na morzu Czerwonym, przeto istotnie znaleźć się może rząd ottomański w krytycznym położeniu, na co politycy włoscy, w rachubach swoich co do warunków pokoju, znaczny zdają się kłaść [illegible].

Innego rodzaju, acz niemniej ważne sprawy rozgrywają się w Anglji, która stanęła nagle wobec największego w dziejach świata zatargu pracy z kapitałem. Związek zawodowy górników angielskich, posiadając fundusz rezerwowy w kwocie 20 miljonów rb., zażądał od właścicieli kopalń zniesienia obecnego systemu najmu *Sliding scale* (akord) na rzecz dniówki z zastrzeżonym minimum płacy. W razie odmowy w d. 1 marca wybuchnąć ma strejk miljona przeszło górników angielskich do których po tygodniu *volens nolens* przyłączy się drugi miljon robotników fabryk metalowych i trzeci miljon personelu przędzalni i tkalni... Dalsze konsekwencje strajku byłyby ciosem straszliwym dla przemysłu Anglji i dla jej dobrobytu. To też można się spodziewać nieomal z pewnością, że do tych ostateczności nie dojdzie: Anglja jest ojczyzną kompromisu w sprawach publicznych, a doktryna „laissefairyzmu" od pewnego czasu została tam porzucona na rzecz interwencji Państwa z zatargach pracy z kapitałem. Obecny radykalny rząd z pp. Asquithem, Lloyd Georgem i Churchillem na czele nie poraz pierwszy bierze na siebie zaszczytną rolę rozjemcy, przyczym, wbrew dowodzeniom marksistów, sympatje rządu nie są bynajmniej po stronie fabrykantów, jak i sympatje całej prawie opinji. Niezmordowany premjer odbył już szereg posiedzeń z przedstawicielami walczących obozów i można przypuszczać, że celu dopnie i uchroni Anglję od klęski strasznego dla niej „głodu węglowego", choćby mu przyszło skłonić opornych kapitalistów do ustępstw środkami prawno-państwowego przymusu, w imię bezpieczeństwa i dobra całego kraju.

Byłby to w dziejach demokracji współczesnych arcyważny precedens i zarazem — wielki debiut *radykalizmu* społecznego na szerszej widowni.

Z dzieł Hugona Kołłątaja.

(Myśli i uwagi).

Rządzący i rządzony powinni się rozumieć i jednym do siebie mówić językiem.

Uwagi o ks. Warszawskim.

* * *

Wyrzekliśmy, że ktokolwiek stanie nogą na polskiej ziemi, jest tym samym wolny, a nie śmieliśmy wyrzec, że ten, który się na niej urodził, powinien być również wolny.

Tamże.

* * *

Żaden naród obstać nie może przy swej niepodległości, tylko taki, który w samym sobie znajduje dość siły na utrzymanie swego bezpieczeństwa, a wszystkie polityczne związki tyle tylko są trwałe i pożyteczne, ile jest mocny naród, który je zawiera

Tamże.

* * *

Szczęście może podźwignąć naród, ale utrzymać go przy trwałym bycie sama sprawiedliwość zdolna.

Tamże.

* * *

Anarchja, która przywiodła nas do zguby, zostawiła w sercu Polaka skłonność do krytykowania wszystkiego, do nieposłuszeństwa prawu; kilkunastoletnia niewola zaczęła nas zaprawiać do nieczułości i niedbania o to wszystko, co się wówczas zwało rzeczą publiczną. Im bardziej nienawidziliśmy narzuconego rządu, tym więcej smakowaliśmy w egoizmie.

Tamże.

* * *

Nie ten, który przeciw zdrożnościom powstanie, lecz który je poprawi lub przynajmniej odej-

dziennikarsko - literackich Polonji amerykańskiej, omawiających i poruszających wiele zagadnień naszego życia społecznego w St. Zjednoczonych. Dochód z owej publikacji przeznaczono na koszt rozpisania wywiadu szkolnego i robotniczego.

Requiem.

Pp. Kosiak i Dworzaczkowi.

(Śpiew żałobny na dwa głosy).

BELETRYSTA KATOLICKI.

Nieszczęścia się na kościół nasz walą,
I w takiej chwili, właśnie w takiej chwili...

REDAKTOR KATOLICKI.

Zaraz... o czymeśmy to mówili?
— O Panienko przenajsłodsza,
Jakże mi się pamięć myli -
Czy o „Kobiecie bez skazy"?

BELETYSTA.

Porzuć swawolne obrazy,
Nie tykaj kobiety — węża:
Spójrz! ile przez nią cierpieć muszą księża.

REDAKTOR.

Ah! widzę: kraj się do upadku chyli,
Na księży spadło klęsk zbyt wiele.

BELETRYSTA.

Tak, redaktorze!
Naród nasz dłużej żyć nie może.
Gorszący przykład dając światu
Nie uszanował majestatu
Cierpienia — w swoich kapłanach;
Nie uczcił bożego gniewu
W nieszczęściu swoich pasterzy:
Mnich święty, ledwo brata zdusi,
— Nie skończy jeszcze swych pacierzy —
Już go wszyscy dają katu.
A iluż to kacerzy
Grzeszników większych niż Damazy
Bezkarnie chodzi po świecie:
O, przeklęte stulecie!
Wszak oni gwałt czynią duszom,
Gdy on tylko zabijał na ciele!

REDAKTOR.

Zbyt wiele nieszczęść, zbyt wiele
Spadło na barki kościoła;

mie siłę szkodzenia, będzie wybawicielem swego narodu.

Listy do Małachowskiego.

* * *

Nędza ludzi rośnie w stosunku do ich niewoli.

Do Prześwietnej Deputacji.

* * *

Sama natura pomści się na nas tak widocznej niesprawiedliwości. Pospolstwo będzie naówczas, jak jest dotąd, rzeczą dziedzica, lecz szlachta będzie niezawodnie pospólstwem, a te same sofismata, których naprzeciw własnemu sercu używamy dzisiaj dla przytłumienia głosu prawdy, służyć będą chciwym sąsiadom do uczynienia nas niewolnikami.

Tamże.

* * *

Niechaj nikogo nie zadziwia okrucieństwo ludu, bo płód, którego ojcem jest niska, matką— niewola, musi przechodzić jadem i srogością to wszystko, cokolwiek w umyśle wystawić sobie możemy drapieżnego i zabijącego.

Tamże.

* * *

Szczęśliwy naród, który rewolucję przez sprawiedliwość uprzedzić potrafi.

Tamże.

* * *

Można wyroki prawdy na ogień skazać, można jej zwolenników prześladować i niszczyć, ale gdy się raz w sercach ludzkich zajmie, żadna potęga wytępić jej nie zdoła.

Tamże.

* * *

Rząd republikański nie zależy na odjęciu prerogatyw królowi, lecz na nieprzestannym działaniu osób, reprezentujących naród i wolę jego wykonywających.

Listy do Czackiego.

* * *

Największa swoboda nie może długo obstać bez rządu, któryby nad jej czuwał stałością.

Listy do St. Małachowskiego.

* * *

Duchowieństwo powinno pamiętać, że nie społeczeństwo dla religji, lecz religja istnieje dla społeczeństwa.

Memorjał w sprawie duchowieństwa.

* * *

Ktokolwiek człowieka nie chce mieć tym, czym go natura mieć chciała, ten nie wart jest być prawodawcą ani nauczycielem narodu.

Do Prześwietnej Deputacji.

* * *

Zatrudniamy się wychowaniem płci żeńskiej iżby nas bawić lub głowy zawracać zdolała, nie myśląc bynajmniej, aby doglądała naszego charakteru i obyczajów, aby była zasileniem naszego męztwa i pomocą dobrego rządu. Ktokolwiek tak myślał, nie zastanowił się podobno nad dzielnością płci słabej, która nie będąc tym, czym ją przez prawa mieć chciano, umie nawzajem dokazać, że mężczyźni stają się tym, czym chcą kobiety. Nie trzeba tylko, zwyczajnego zastanowienia się nad potrzebami społeczności ludzkiej, aby na tak ważną natrafić prawdę, iż Matki Rzeczypospolitej, Matki stanu Rycerskiego, Matki gospodarzów i Panów powinny być jaknajgruntowniej oświecone, powinny być obyczajów nieskażonych, powinny być najpierwej przejęte miłością swobód krajowych, inaczej potomstwo ich nie będzie tym, czym go chce mieć konstytucja wolnego rządu.

Listy anonima.

* * *

Cóż mówić o m o w i e o j c z y s t e j? o tej jedynej własności, po której wiernym dochowaniu najlepiej damy się poznać obcym, czymeśmy byli. Wszystkie inne mowy, osobliwie narodów naukami

---

Ojczyzna czyż wytrzyma?
Naród czyż wytrwać zdoła?

BELETRYSTA.

Wielkie snadź winy są narodu,
Skoro tak strasznie Bóg je karze,
Karą straszniejszą od wojny, ognia i głodu

REDAKTOR.

Tak! niema klęski sroższej dla narodu
Niż krwią shańbione ołtarze.

BELETRYSTA.

Czyn krwawy brata Macocha
To przestroga, że On nas nie kocha,
To groźny apel do pokuty!
Bo tam gdzie grzeszy duchowieństwo
Znać że narodu duch zatruty.

REDAKTOR

Ojczyzno! kędyż kres twojej niedoli?
Ojca Rejmana listy gończe
Ścigają pono, jak włóczęgę...

BELETRYSTA.

Ojczyzno! serce-ż cię nie boli,
Gdy twoi księża cierpieć muszą!

REDAKTOR.

Jak cierpi biedny Kłopotowski!
Ów kapłan zasłużony w pracy,
Także — jako ja — Ignacy,
Czyż nalazł wdzięczność za swe trudy?
On, co się pobożnością żarzy,
Niech ktoś z braci zniesławi,
Niech ktoś tam spotwarzy,
Już krzyczą młodzi i starzy:
Niech odszczeka, niech odszczeka!
A gdzież jest cześć dla — człowieka?

BELETRYSTA.

Gdzie, rzeknij! szacunek dla księdza?
I powiedz! powiedz! w takiej chwili,
Gdy tyle nieszczęść na księży się wali,
Gdy tyle klęsk ich ściga,
Iż dzisiaj kler na barkach zgiętych Paulina
Nabuchodonozorów zbrodnię dźwiga
I dźwiga zbrodnię Kaina,
Oh! w takiej chwili, krew się we mnie ścina,
„Prawda" przypomina,
Że ksiądz nie jest najlepszym mistrzem moral-
[ności,

wsławionych, wysławić sobie powinniśmy za nieobojętne środki do zbogacenia naszych umiejętności i gustu w wyzwolonych naukach. Mowę naszą uważać powinniśmy jako własność najprzyjemniejszą, przez którą wszystkie umiejętności i nauki staną się przystępnymi dla umysłów tych nawet obywateli, których pamięć nie jest zdolna obciążać się gruntowną znajomością mów obcych. Kto szuka rzetelnie upowszechniać światło w jakim narodzie, ten powinien położyć za najpierwszy fundament swych usiłowań, aby mowę narodową zrobił mową uczoną i zdolną tłómaczyć najgłębsze nauk tajemnice, każdy albowiem w swej ojczystej mowie zdolny jest wyobrażać sobie wszystkie przedmioty i z wyobrażonych najjaśniej się tłómaczyć, a chcąc o tych samych przedmiotach mówić w obcej mowie, będzie tylko przekładał, co we własnej pojął lub z czego w swej mowie chciał się wytłumaczyć. Nie samo więc próżne przywiązanie do mowy ojczystej skłaniać nas powinno, abyśmy koło jej wydoskonalenia z największą pracowali gorliwością, ale widoczna potrzeba oświecenia publicznego. Mamy tego liczne przykłady z historji dawnych i teraźniejszych narodów. Gdziekolwiek nauki dawane były w obcym języku, tam zawsze mała bardzo liczba ludzi korzystała z ich światła, a cała masa ludu była podobnie barbarzyńska jak ich mowa, gdziekolwiek nauki dawane były w ojczystej mowie, tam oświecenie zluzowało barbarzyństwo, a mowa ojczysta stawała się prawdziwie uczoną.

Listy do Czackiego.

* * *

Próżnoby chciano liczne podejmować koszta w rozszerzaniu przytłumionego u nas światła, gdyby nam dano do szkół mowę obcą, tym bardziej obcych nauczycieli.

Listy do Czackiego.

Nauczyciel i prawodawca narodu.

Nie prędko zapewne doczekamy się pełnej i wyczerpującej monografji o życiu i pracach Kołłątaja [1]). Temat jest zbyt obszerny ażeby jedno dzieło zdołało go ująć. Każdy moment jego bujnego życia na osobne zasługuje studjum. Kołłątaj polityk i mąż stanu, Kołłątaj filozof, Kołłątaj ekonomista, Kołłątaj pedagog i reformator szkolnictwa, oto rozdziały owej nienapisanej księgi. Czytając ją, znajdziemy cały obraz epoki, jej rzeczywistych stosunków, jej dążeń i ideałów. A na to wszystko spoglądać będziemy przez pryzmat duszy, czującej gorąco a myślącej mądrze i układającej swe poglądy w konsekwentną całość. Punktem koncentracji dla całej działalności Kołłątaja była jedna, zawsze ta sama idea naczelna: naprawa Rzeczypospolitej.

Widział upadek ojczyzny, widział i rozumiał jego przyczyny. Dźwignąć ją wszystkimi siłami — oto co myśl jego zaprzątało bezustannie, co było sprężyną wszystkich jego działań.

Biorąc czynny udział w pracach Komisji edukacyjnej, Kołłątaj widział w niej w pierwszym rzędzie instytucję państwową i ku podźwignięciu państwa służącą.

Było ono republiką, więc należało kształcić typ wolnego obywatela i patrjoty; miało być republiką praworządną nie anarchiczną, należało tedy zawczasu wszczepiać w młodzież godność osobistą i poszanowanie oraz znajomość prawa.

Jeśli kraj ma być szczęśliwy, bogaty, każdy musi w nim spełniać pewne użyteczne funkcje umiejętnie i ze znajomością rzeczy. Stąd utylitaryzm w programach, ściśle stosowanie nauki do potrzeb i wymagań życia, nacisk na praktyczne zastosowania wiedzy, stąd wreszcie żądanie, do którego stale później jeszcze powracał — stworzenia katedry gospodarstwa wiejskiego przy Szko-

[1]) Dwutomowa praca Tokarza, obejmuje tylko *Ostatnie lata Kołłątaja*, to jest epokę jego przymusowej choć oczywiście względnej bezczynności.

I jakby nie dość było klęsk ogromu,
W djabelskim swoim djalekcie
Gromi prefektów, wyszydza ich lekcje,
Lekcje religji w szkołach! Zgroza, zgroza!

REDAKTOR.

W takiej chwili! Istna to „apoteoza Barbarzyństwa".

T. zw. panu B. K.

Najpiękniejszym świadectwem tryumfu idej postępowych i demokratycznych w naszym społeczeństwie jest wstyd, który konserwatystom nie pozwala przyznać się do — konserwatyzmu. P. B. K w *Kurjer Warsz.* nawet zwalczając postęp chce aby go uważano za postępowca. Zdając sprawę z szeregu artykułów p. Józefa Langego, drukowanych w roku zeszłym w *Prawdzie*, a obecnie w osobną ujętych broszurę p. n. „W poszukiwaniu drogowskazu", wysoko podnosi jej zalety, twierdzi jednak, że nam „monopolu postępowości" przyznać nie może i wyraz „postęp" stawia w cudzysłowie. Według niego pierwiastki dążenia w przyszłość, i pracy dla niej, znajdują się także w innych obozach, nie tylko „w t. zw. obozie postępowym". Ależ doskonale! Oby tak było! Naszym jest pragnieniem, aby idee postępu stały się udziałem ogółu: nie mamy nic przeciwko temu, aby na łamach *Kurjera Warsz.* zakwitł demokratyzm szczery, radykalizm społeczny tudzież wolna myśl. Powiada pan B. K. że nam braknie wiary, bo nie wierzymy w cuda. Zapewne. Ale niechże się to spełni, a wówczas, wbrew wszelkim wątpliwościom, uwierzymy!

le Głównej, katedry, jakiej nigdzie jeszcze w Europie nie było. Z niej wiedza agronomiczna miała się rozchodzić po całym kraju i przenikać nawet do szkółek parafjalnych.

Nie o bogactwo prywatnych ludzi mu chodziło, lecz o bogactwo kraju, o gospodarkę ogólną i dlatego uważał, że jest niezbędną w Szkole Głównej katedra ekonomji politycznej, nauki równie użytecznej dla obywateli prawodawców jak i dla urzędników państwa.

Kołłątaj, zarówno jak inni kierownicy komisji edukacyjnej — był centralistą. Chodziło mu wielce o jednolitość kierunku wychowania, gdyż tą drogą miano osiągnąć jedność opinji politycznej. Żądał oddania całego wychowania publicznego pod nadzór komisji, a z reguły tej nie wyłączał żadnej uczelni, więc też i szkół żydowskich.

Tylko naukę religji w myśl zasady tolerancji pozostawił w rękach duchowieństwa, ale nie umieścił jej w programie szkolnym. Tę reformę, jak wiemy, wprowadziła w życie Komisja edukacyjna. Nauka moralności, dla wszystkich jedna, na „prawie naturalnym" oparta a do nauki prawa stanowiąca wstęp i przygotowanie, wykładana miała być we wszystkich szkołach, że zaś „zasady nauk moralnych wydobywają się z fizycznej znajomości człowieka", kto ma wykładać nauki moralne, winien znać nauki fizyczne, zwłaszcza dotyczące człowieka. To też we wszystkich programach szkolnych, kreślonych przez Kołłątaja „nauki fizyczne" ważne zajmują stanowisko nietylko jako przygotowanie do kształcenia zawodowego, lecz jako czynnik ogólno-kształcący.

Przewodnią myślą wszystkich reformatorskich usiłowań Kołłątaja zarówno w prawodawstwie jak w szkolnictwie, było pomnożenie liczby rzeczywistych obywateli kraju. „Cóż to za naród, pisał w listach do Małachowskiego, w którym dorachować się można stu tysięcy familji mających prawdziwy interes o konstytucję rządową? Reszta ludzi to niewolnicy, których ojczyzna nasza przez żaden sposób obchodzić nie może". Ze stu tysięcy uczynić miljony, w tym widział drogę do siły i pomyślności kraju.

To też oświecenie ludu jest daleko ważniejszą rzeczą, niż założenie najuczeńszego ateneum — pisał do Czackiego. Komisja edukacyjna „gorliwa i śmiała w swych widokach niezbyt śmiała w ich wykonaniu", za mało uczyniła w tym kierunku. Błędem jej było, że zakładanie szkół parafialnych pozostawiła dobrej woli obywateli a kierownictwo ich oddała w ręce duchowieństwa, które o oświecanie ludu nie dbało. On dążył ni mniej ni więcej jeno do stopniowego zaprowadzenia powszechnego obowiązkowego nauczania, i cały plan jego rozwijał w listach do Czackiego.

On pierwszy w Polsce, a nawet pierwszy w Europie domagał się, by wychowanie dziewcząt uznane zostało jako zagadnienie ogólno narodowego i państwowego znaczenia, by niem pokierowano w duchu potrzeb kraju i łożono na nie z publicznego funduszu.

Wychowanie publiczne było w jego przekonaniu najcenniejszą dźwignią przyszłej pomyślności kraju, rękojmią trwałości dziś podjętych reform, lecz ratunku Rpltej nie odkładał na jutro. Rozumiał lepiej może, niż ktokolwiek, że spieszyć się trzeba i jaknajprędzej korzystać ze sposobnej chwili i zabrać się energicznie do przebudowy zagrożonego gmachu.

Na pierwszym planie stawiał to, co było istotnie najbardziej naglącą reformą, warunkiem urzeczywistnienia wszystkich innych, uzbrojenie bezbronnego kraju. Jednak nie był fantastą, lecz politykiem trzeźwym, więc we wszystkich robotach, na których się zasadza doskonałość politycznego rządu, chciał „zachować odpowiednią proporcję" a wiedział iż zubożały kraj nie zniesie wielkich ciężarów militarnych, nie żądał tedy więcej niż 60.000 wojska,

Było to oczywiście zamało, większa armia mogła by jednak obudzić podejrzliwość sąsiadów, a na zwiększenie pogotowia wojennego Rzeczypospolitej wynalazł miny i całkiem w nowoczesnym stylu pomyślany środek. Zamiast przestarzałego pospolitego ruszenia chciał przywrócić lub nadać miastom i województwom prawo popisów militarnych powtarzających się dwa razy do roku, zaprawiających szerokie warstwy ludności do pełnienia powinności wojskowej, a nadto radził dać młodzieży edukację żołnierską, wprowadzić nawet mustry po parafiach.

„Na nic się nie przyda najdoskonalsza poprawa Rzeczypospolitej, póki jej siły nie wzmocnimy" pisał.

Ażeby zyskać środki na tę ważną reformę, trzeba podnieść bogactwo kraju przez dobre gospodarstwo, trzeba, aby konsulowie czuwali nad interesami polskiego handlu za granicą. „Dobry gospodarz nie skąpi na opłatę stróża". Niech będzie ułatwiony handel, niech się wskrzesi industrja.

Wszystkie reformy społeczne, jakie proponował, oprócz innych celów i ten miały zawsze na względzie: przez uporządkowanie stosunków wewnętrznych wzmódz wytwórczość i zasobność kraju. Usunąć samowolę i zamęt w wymiarze sprawiedliwości, zapewnić każdemu korzyść z jego pracy a przez to do pracy zachęcić, położyć kres gospodarce rabunkowej starostów przez sprzedaż królewszczyzn i obdarzenie miast pełnym samorządem wewnętrznym, zagwarantować chłopom przez obustronnie obowiązujące stałe kontrakty używalność ziemi na ściśle określonych warunkach, wszystkich bez różnicy pochodzenia i społecznego stanowiska poddać powszechnemu prawu I wszystkim opiekę tegoż prawa zapewnić — były to dla niego postulaty nie abstrakcyjnej zasady słuszności lecz interesu publicznego.

Kołłątaj nie był w najmniejszym stopniu doktrynerem i jego reformatorskie pomysły nie płynęły z chęci aplikowania w życiu teoretycznych przesłanek filozofji współczesnej, lecz były środkami zmierzającymi do konkretnych celów i tylko celowość decydowała o wyborze. Domagał się tedy przyznania wszystkim praw człowieka, rozciągnięcia zasady „neminem captivabimus" na wszystkie klasy ludności, do udziału w rządzie dopuszczał jednak tylko te, o których sądził, że interesów kraju bronić będą skutecznie. Dla przedstawicieli miast żąda osobnej izby w sejmie, przekonany, że posiadają oni zupełnie wystarczającą polityczną dojrzałość, gdyż forma rządu miast lepiej przystosowana jest do Rzeczypospolitej, niż wszystkie sejmiki. Natomiast z sejmików usuwa szlachciców nieposesjonatów, a czyni to dla złamania sztucznej przewagi możnowładztwa, gdyż ta szlachta wysługująca się magnatom po dworach, stanowiła ich najemną zgraję, ślepe narzędzie prywaty. Sejmiki 1792 roku stwierdziły, jak dalece pomysł ten okazał się praktycznym i zbawiennym.

Jak w swych ideach padagogicznych pozostawał zawsze politykiem, tak w reformach politycznych, trzymał się pedagogicznych metod.

Gdy stawiał dość daleko sięgające żądania, szukał dla nich oparcia i sankcji w dawnej tradycji wyjaśniając, że to, co uchodzi za przewrót,

jest właściwie tylko zwrotem, restytucją niegdyś przywłaszczanych praw. W statutach Kazimierza Wielkiego, w przywileju Koszyckim, znajduje dowody, że miasta miały głos w tak ważnych sprawach krajowych, jak następstwo tronu, że chłopi mieli prawo porzucić pana, który ich krzywdził na zdrowiu, życiu lub mieniu. Wznawiając więc tę zasadę, nie mówił do szlachty „dajcie, lecz: oddajcie", odwoływał się u konserwatystów do ich konserwatyzmu, gdy u postępowców sama miłość postępu dostateczną była pobudką.

Wszystkie tkwiące w narodzie instynkty, popędy, skłonności starał się dla swego dzieła spożytkować, dając im zdrowy kierunek pozytywny zamiast negatywnego, z siły destrukcyjnej przetworzyć je chciał na siłę twórczą. Unikał pozoru, że czyjeś prawa i prerogatywy uszczupla; jeśli im stawiał hamulec w rozszerzonych prawach innych grup społecznych, to równocześnie otwierał im perspektywy nowych wpływów i korzyści.

Wielce znamienne są jego projekty, dotyczące duchowieństwa.

Kołłątaj był wrogiem fanatyzmu lecz nie religji, zasadę tolerancji pojmował szeroko i bez zastrzeżeń. „Wiara jest darem nieba, komu ten dar nie jest użyteczny, nie można go z tej przyczyny mieć w pogardzie", pisał, stąd wszelki nacisk na sumienia ludzkie, zwierzchnictwo jednego wyznania nad drugimi, lub religji nad nauką, kategorycznie usuwał. Duchowieństwo wszelkich wyznań, nie wyłączając religji panującej, w sprawach świeckich podlegać ma sądom świeckim i prawom krajowym. Sądy duchowne, dotyczące spraw wyznaniowych, miały mieć zapewnioną niezawisłość o tyle, o ile tylko jedno wyznanie w grę wchodziło. Spory między wyznawcami różnych wyznań rozstrzygać miały komisje mięszane. Chodziło mu o to, by wszystkie najwyższe instancje znajdowały się w kraju i były z jego ustrojem związane, aby „obce potencje" nie mogły się wtrącać do jego spraw wewnętrznych. Najwyższą władzą dla duchowieństwa katolickiego miał być Synod Narodowy, obradujący wobec przedstawicieli władzy świeckiej, zwoływany czasem na jej zlecenie i stanowiący zarazem trybunał apelacyjny od wyroków arcybiskupa. Bulle i brevia papieskie miały przechodzić przez kontrolę władzy krajowej, i o tyle tylko być obowiązujące, o ile przez nią przyjęte i na synodzie narodowym potwierdzone zostaną.

I tu więc, zwiększając właściwe prerogatywy duchowieństwa miejscowego kosztem władzy papieskiej, wiązał je ściślej z narodem i jego interesem krępował.

Cały plan reform opracowany przez Kołłątaja był już gotowy i opublikowany w roku 1788 w *Listach anonima do St. Małachowskiego*. Jakkolwiek autor jego, posłem nie będąc, bezpośredniego udziału w obradach sejmu nie brał, program jego był niewątpliwie materjałem dyskusji, podstawą dla prac „deputacji" redagującej projekty do praw, do której i Kołłątaja zaproszono. Trzy długie i niesłychanej wagi w dziejach kraju lata strawiono na deliberacjach, których rezultatem było powikłanie rzeczy prostych, zmącenie rzeczy jasnych.

Zmarnowanoby niewątpliwie jeszcze więcej drogocennego czasu, gdyby nie zamach stanu, którego inicjatywę w znacznej mierze znowuż Kołłątajowi przypisać można, on bowiem wcześniej i jaśniej niż ktokolwiek, zdawał sobie sprawę, że czas nagli, gdyż przyjazne konjunktury polityczne lada dzień popsuć się mogą.

Wypadkową reformatorskich dążeń, obstrukcji świadomej czy mimowiednej sejmu, oraz ostatecznego pośpiechu tajnej komisji, było dzieło spóźnione i połowiczne, którego braki Kołłątaj widział jasno, choć dla opinji europejskiej kreślił jego apologię w książce *O powstaniu i upadku Konstytucji 3-go maja*.

Spełniły się niestety jego obawy, wyrażone wcześniej jeszcze, nim naród upojeniem radosnym, festynami, iluminacjami, nabożeństwami, zaczął święcić moment „pokojowej rewolucji", która wprawdzie „nie kosztowała ani jednej wybitej szyby" ale też późniejszemu zniszczeniu nie zapobiegła. „Na cóż się przyda, gdy pierwej radości powszechnej okażemy znaki, niż ją sobie trwale zabezpieczyć potrafimy? Nie bierzmy nadziei za skutki", „samą radość winniśmy umiarkować bojaźnią".

Zbyt lekko traktowano cenne przestrogi mądrego doradcy, który nie przez fortunę i wysokie stanowisko lecz wyłącznie przez swój rozum, talent, energję i niezmordowaną pracę zdobywał wpływ na sprawy krajowe. Cztery lata, w ciągu których myśl w jego głowie zrodzona, z trudem przesiąkała w mózgi sejmującej szlachty, nim wreszcie do zbiorowego czynu stała się podnietą, zdecydowały o losie kraju. Wszystkie targi, kompromisy, ustępstwa, nie osiągnęły celu, a jedynym ich następstwem było opóźnienie a przez to unicestwienie mozolnie a gruntownie obmyślanej reformy. Z ogromu prac, zamierzonych lub dokonanych przez Kołłątaja, nie pozostał kamień na kamieniu i dziś tylko pożółkłe stronice starych ksiąg odtwarzają w naszej pamięci obraz człowieka, który dla przyszłości kraju żyjąc całą duszą, nie przeczuwał, że tą przyszłością będzie nasza obecna teraźniejszość.

I. Moszczeńska.

W obronie demokracji.

4)

(Dokończenie).

Jeszcze jeden argument chowają w zanadrzu nieprzyjaciele demokracji, który rozpatrzeć musimy.

Nie przeczymy, powiadają oni, że lud potrafi „czuć", że posiada „intuicję": wszelako — braknie mu napewno wiedzy. Należy poddać go przewodnictwu tych, którzy posiadają „wiedzę". Jest to w złagodzonej postaci wskrzeszone marzenie o „doskonałym tyranie" Renana; jest to owa arystokratyczna mrzonka Comte'a, wedle której światem rządzić winna Rada Filozofów.

Trudno atoli oprzeć się uwadze, że ów tyran mądry (jakże go znaleźć?), owi filozofowie i socjolodzy, obdarzeni wszechwładzą, byliby także ludźmi, podległymi słabostkom i namiętnościom, popędom chwili i przesądom kasty, i przy najwyższym nawet uzdolnieniu, przedstawialiby zawsze jedną tylko stronę działania, widzieliby jedno tylko oblicze zjawisk. Państwo rządzone przez profesorów Akademji nie stałoby się zapewne krajem szczęśliwości, doprowadzić by mogło do wyników zgoła niewiarogodnych: do żalu za obecnymi rządami ludzi „niepowołanych".

Czym bywają wistocie rządy sprawowane przez owych „pedantokratów", uczonych i profesorów, rządy o których marzył Comte, przekonać się mogliśmy, z maleńkiej próby, jaką w zeszłym roku dał nam Senat Wszechnicy Jagiellońskiej w słynnym zatargu z młodzieżą, buntującą się przeciwko

wykładom ks. Zimmermanna. Niewątpliwie teren działań, po którym krążyć mogła polityka Senatu, i na którym zamykały się jego rządy, był bardzo szczupły. A jednak na tym szczupłym terenie ileż błędów, ile niewłaściwości, ile nieprzezornej, brutalnej prowokacji, ile nieznajomości psychologji młodzieńczej, ile słowem wykroczeń przeciwko mądrości politycznej — popełnili ci, którzy mądrości tej powinni być żywym i widomym jakoby naczyniem, żywym bezpośrednim organem, socjologowie i psycholodzy, badacze natury ludzkiej i społeczeństwa, dziejoznawcy, analitycy i syntetycy wielkich ruchów masowych, przezieracze tajemnic historycznych, auskultanci przeszłości i spowiednicy jej pomników!

To też myśl w nas cierpnie na samo przypuszczenie, iż rządy np. Austrji mogłyby na chwilę spocząć w ręku prof. Tarnowskiego, prof. Straszewskiego, lub prof. Zimmermanna, albo dr. Witkowskiego, sprawcy niefortunnych starć młodzieży akademickiej z policją krakowską. Ci „uczeni" i rzekomo „powołani" narzuciliby krajom despotyzm swej doktryny, stokroć nieznośniejszy od regime'u Stürgkha, ba! gorszy nawet od tyranji Meternicha! Ale gdybyśmy nawet, miast ciasnych doktrynerów, zagorzalców swej zbawiennej idei, wysunęli ludzi szeroko liberalnych, o umysłach wszechstronnych, przesiąkniętych ideami humanitarnymi, to i wówczas perspektywa zmieniłaby się nie o wiele na lepsze. Wszak Francja, będąca jakoby rzeczywistą doświadczalnią ustrojów państwowych, postawiła w pewnej chwili na czele swym Lamartine'a: i cóż? — Próba nie okazała się ani trwała ani zbawcza; a przecież nie każda epoka wydaje nawet Lamartine'ów!

Naciskowi rozważań powyższych ulec muszą piastuni najbardziej fantastycznych snów. Widząc niezniszczalność swych utopji, z rozpaczą, pod przymusem, chylą czoła przed znienawidzoną demokracją. Atoli, nie mogąc demokracji zwalczyć, starają się ją przynajmniej ograniczyć. Owa demokracja, która nieustannie posuwa się naprzód i grozi powszechnym zalewem, napawa ich takim samym lękiem, jakiego Holendrzy doznają przed naporem morza: usiłują więc odgradzać się od niej zapomocą tam. Szukają sposobów skrępowania powszechnych głosowań, chcą dzielić wyborców na kategorje, upierają się przy systemie wyborów wielostopniowym, stawiącym przedział znaczny między izbą poselską a ludem, wreszcie powtarzają do znudzenia swój staroświecki argument że: niesprawiedliwością jest zrównanie w prawie głosu alkoholika z człowiekiem statecznym, genjusza z pospolitakiem: chcieliby wogóle odjąć prawo głosu jednostkom, nie mogącym wykazać się ani majętnością ani wybitnym uzdolnieniem.

Oczywiście, przestępców oraz obłąkanych trzeba wziąć po za nawias życia politycznego. Na to zgoda! Natomiast zgodzić się nie możemy na pozbawienie praw wyborczych prostego, nieukształconego ludu. W imię czego praw tych odmówimy jednostce, która, jak inne jednostki, płaci podatki, ponosi narówni z innymi ciężary państwowe i pracuje, pomnażając sumę dobra społecznego? W imię czego odmówimy jej głosu właśnie w sprawie owego dobra społecznego i gospodarki państwowej?

Jeszcze mniej uzasadniony wydaje się nam system wyborów pośrednich, wielostopniowych. Wistocie, system ów, odsuwając od wpływu bezpośredniego na wynik wyborów ogół obywateli, czym powierza go rękom? — Rękom urzędników, biurom policji, organom korporacyjnym o ścisłej wyłączności interesów, które, niestety, zazwyczaj idą naprzekór interesowi powszechnemu. Lista nadużyć administracyjnych, nieuniknionych nawet na podstawie powszechnego i bezpośredniego głosowania, jest tak długa, że niema bynajmniej potrzeby przedłużać jej jeszcze, zapomocą mnożenia tych punktów, na których samowola administracji krzyżować się może z wolą ludu.

Szczytem zaś niedorzeczności byłby system t. zwanych „głosów pluralnych", usiłujący odmierzać na wadze zdolność wyborczą obywateli, i przyznający dwa, trzy, lub cztery głosy Piotrowi wobec jednego tylko głosu, przyznanego Pawłowi. Gdzież są wagi, zapytamy, do podobnego szacowania głosów, gdzież próbierze do słusznego określenia „zdolności wyborczej" człowieka? Rzecz prosta, że próbierze takie będą zawsze stawione mniej lub więcej, dowolnie; jakże bowiem zważyć genjusz albo cnotę człowieka? Sam, zresztą, system taki byłby zbyteczny, ponieważ prawo głosowania jest tym najprostszym orężem, którym państwo obdarowywa wszystkich obywateli, i który obywatele ci posiadać winni jako tacy. Bo ileż to innych, poza tym, środków, i jak potężne, po za tym, oręże ma do rozporządzenia człowiek bogaty lub ukształcony, celem uwydatnienia swego zdania i wsparcia swego wpływu! I bezwarunkowo nie widzimy słusznej potrzeby uwielokratniania arytmetycznego (przez podwajanie lub potrajania głosów) tego wpływu, jaki z racji stanowiska swego wywierać mogą jednostki uposażone wysoce — materjalnie lub duchowo: jednostki mające do rozporządzenia propagandę za pomocą słowa, pióra, trybuny odczytowej, książki, dziennika, wreszcie — inicjatywy ekonomicznej.

Owa słuszność w ścisłym odmierzaniu praw wedle zdolności, słuszność i sprawiedliwość, którą niektórzy chcieliby widzieć wymierzaną przez państwo, wymierzaną dowolnie, urzeczywistnia się samorzutnie mocą prawa żywiołowego w samym społeczeństwie, które obywatelowi zasłużonemu, obdarzonemu jednym tylko głosem, przyznaje w zamian szerokie prerogatywy w oddziaływaniu na życie publiczne.

Prawo głosowania, niejako, stanowi tę „najmniejszą kwotę" praw politycznych, którą państwo uznać winno w każdym obywatelu. Rozumie się iż zadaniem każdego śród obywateli, będzie kwotę ową pomnożyć bądź genjuszem, bądź osobistą pracą.

* * *

Oto argumenty, które naszym zdaniem dość skutecznie bronią, przed atakami przeciwników demokracji, zasad systemu przedstawicielstwa parlamentarnego, będącego jądrem demokracji. Konieczny wniosek tej obrony głosi, że zasada głosowania powszechnego nie stanowi najdoskonalszej podstawy dla rządu, ale stanowi, przecież, najmniej niedoskonałą z istniejących.

W gruncie, wysubtelniając pojęcia, trzebaby uznać, że nawet panowanie demokracji jest swego rodzaju rządem arystokratycznym, w dodatnim znaczeniu tego słowa, z tą jedynie różnicą, że: arystokracja owa tworzy się na podstawie pewnego próbierza doboru (wyniku głosowania) nie zaś na podstawie dziedziczności.

Możnaby powiedzieć, że demokracja jest niezbędna jako punkt wyjścia, jako założenie, arystokracja zaś będzie nieuniknioną wypadkową, jako rezultat końcowy. Nierówność bowiem stanowisk bywa nieunikniona w republikach najbardziej nawet demokratycznych. Atoli nierówność owa

nie jest zjawiskiem ani nienaturalnym, ani nie sprawiedliwym, o ile bywa owocem nie dowolności lub gwałtu, tylko zasługi i wyboru.

Zasada równości winna być zrównoważona z zasadą zasługi w ten sposób, ażeby wszyscy obywatele otwarty mieli dostęp ku stanowiskom przenajwyższym (czynnik demokratyczny), osiągali je zaś tylko ludzie najwybitniejsi (czynnik arystokratyczny.)

W takim pojednaniu między demokracją a arystokracją spoczywa dzisiaj istotna teorja demokratyczna.

Nie mamy zamiaru poddawać na tym miejscu rozbiorowi bezpośrednich skutków praktycznych, jakie pociągnęłoby za sobą wprowadzenie głosowania powszechnego w krajach, które go dotąd nie posiadają. Pragniemy pozostawać w ramach studjum teoretycznego, które zakreśliliśmy sobie na początku, stając wobec zagadnienia. Tym, atoli, którzy lękają się niebezpieczeństwa ze strony klerykalizmu, miast odpowiedzi, postawimy przed oczy przykład Austrji. W państwie Habsburgów, wybory do parlamentu po raz pierwszy na podstawie prawa powszechnego ogłoszone w roku 1907 dały — w rzeczy samej większość katolicko — klerykalną; wszelako krótko trwała rzeczona przewaga żywiołu wstecznickiego: świeże wybory w lipcu roku zeszłego dokonane obaliły już większość klerykalną i przyniosły zwycięstwo żywiołom postępowym.

Dowód to wymowny, że głosowanie powszechne, aczkolwiek może chwilowo sprzyjać ideom reakcyjnym, niebawem zmienia kierunek, zapewniając tryumf stanowczy siłom kultury i postępu; tryumf ten, mianowicie, wynika z powołania przed urny wyborcze całego narodu; stąd że cały naród do służby publicznej wezwany, w kadrach służby tej wychowywa się, kształci i dojrzewa.

Jakkolwiek zresztą wypadnie sąd nasz o bezpośrednich konsekwencjach wyborów powszechnych poczytywać musimy za najpierwszą konieczność życia politycznego zasadę, iż duch kraju, taki czy inny, niepowinien zostawać dla sterników rządu — zagadką. Ów duch kraju objawia się w drodze głosowania powszechnego: o jedną rzecz przytym chodzi, nadewszystko: aby duch ten był wyrażony szczerze. Jeśli ten warunek kardynalny zachowamy, bądźmy pewni, że nie straty, ale korzyści odniosi stąd nasze idee i nasze usiłowania: z głębokich warstw ludowych tryśnie bogato żywy zdrój energji, wzmagając świeżymi siłami dotychczasowe tętno życia politycznego i społecznego w kraju.

Przypomnijmy sobie, że najwybredniejszy apostoł arystokratyzmu w naszych czasach, Fryderyk Nietzsche, nie mógł obronić się przekonaniu iż „odwiedzanie ludu i zasięganie rad jego działa tak jak widok zdrowej, potężnej roślinności".

St. Romanowski.

Listy z Galicji

IV.

Losy ugody polsko-ruskiej. Ustosunkowanie się stronnictw polskich w Sejmie. Zjazd delegatów frondy ludowej. Ogólna sytuacja w kraju.

Sejm został odroczony ponieważ stronnictwa polskie nie doszły do ostatecznego porozumienia, w sprawie sposobów zabezpieczenia mandatów oraz mniejszości polskich, a Rusini aż do załatwienia reformy wyborczej niegodzili się na zaprzestanie obstrukcji.

Z posiedzeń Sejmowego koła poselskiego i sejmu okazało się, że w ciałach tych mają przewagę te same stronnictwa co w kole polskim w Wiedniu. Krzykliwa opozycja narodowo-demokratyczna spotyka się ze zwartym kołem większości. Udział dr. Bilińskiego w pracach sejmowych i rokowaniach ugodowych jest bardzo doniosły, i budzi jaknajlepsze nadzieje. Pozycja namiestnika Bobrzyńskiego wzmocniła się znacznie, i o wysadzeniu go z zajmowanego stanowiska mowy [illegible].

Niedawno namiestnictwo wystosowało do jednej gminy ruskiej cyrkularz w języku ruskim. Fakt ten wywołał alarm w obozie wszechpolskim i w klubie środka. Tymczasem okazało się z wyjaśnień dziennika rządowego, że prawo z r. 1860 upoważniało do takiego kroku. Fakt, że prawa tego nie stosowano poprzednio przemawia tylko na niekorzyść dawnych namiestników, którzy je sobie lekceważyli. Dr. Bobrzyński, który postawił sobie za zadanie sprawiedliwe traktowanie Rusinów i ścisłe trzymanie się ustaw, postanowił to prawo wprowadzić w życie.

Prasa endecka wszczęła z tego powodu lament zupełnie nieuzasadniony. Przedewszystkim wiadomem było każdemu, że władze na podania ruskie muszą odpowiadać po rusku, co dowodzi, że język ten jest stosowany w sprawach urzędowych. Jeżeli więc rząd z góry wystosował po rusku cyrkularz do gminy, która ten język uznała za swój (co prawo w zupełności dozwala), to nie zrobił nic złego. Doświadczenie powinno było nas nauczyć, że narzucanie obcego języka z góry nie prowadzi do jego przyjęcia w życiu potocznym. Dla nas doniosłym jest to, że w Galicji sami korzystamy z praw naszego języka wszędzie.

Narzucanie zaś naszego języka Rusinom, którzy mają swój i którzy go nie przestaną używać, gdyby nawet wszystkie cyrkularze i rozporządzenia pisane były po polsku — nie przynosi nam żadnych korzyści i zaostrza tylko stosunki polsko-ruskie.

Galicja ma ludność mieszaną i z tym liczyć się trzeba; o ile nie chce się jej podziału, to trzeba obu narodom zapewnić równe prawa. Dziecinnym też jest żądanie, aby namiestnik, przedstawiciel państwa i cesarza prowadził li tylko politykę na korzyść Polaków, ponieważ sam jest Polakiem.

Zjazd frondy ludowej, pomimo zapewnień *Kurjera Lwowskiego* wypadł dość mizernie. Nie powzięto na nim żadnych realnych, ściśle określonych uchwał. Omówiono tylko ściśle jedną sprawę praktyczną, projektowaną przez konserwatystów, obowiązkową organizację rolników, niekorzystną dla włościan.

Przeciwko tej ustawie jednak oświadczyli się nie tylko frondziści. Całe stronnictwo ludowe ją odrzuci, w tej formie jaką proponują konserwatyści.

Uchwalono zorganizować się. Najwięcej czasu poświęcono atakom na pana Stapińskiego, namiestnika i dr Bilińskiego. Frondziści nie mają ani mas chłopskich, ani wyrobionej inteligiencji.

Ogólna sytuacja w kraju jest jakby przejściowa. Wszyscy oczekują reformy wyborczej, która wraz z ugodą polsko-ruską góruje nad innymi spra-[illegible].

Socjaliści urządzili przed sejmem wielkie zgromadzenie, a delegaci ich udali się do dr. Bilińskiego i marszałka, celem przedstawienia swoich żądań.

Socjaliści nie łudzą się że obecnie da się

uzyskać 4-ro przymiotnikowe prawo wyborcze. Chcieliby jednak nawet przy systemie kurjalnym usunąć najgorsze jego strony. W tym celu między nimi, a dr. Bilińskim, Lecm i innymi odbyła się konferencja. Socjaliści domagają się przedewszystkim większej, niż przewidziane było w projekcie, reprezentacji w kurji powszechnej w miastach.

Ludwik Kulczycki.

KRYTYKA.

Zygmunt Krasiński.

IV.

Lecz idea zemsty nie jest w „Irydjonie" zaniechana. Jest tylko przetworzona do niepoznania. Zemsta Konrada Wallenroda jest szybka jak piorun, grzmiąca, emfatyczna, młodzieńcza i nieopatrzna. Ucina jedną głowę hydrze, staje nad nią w pozie zwycięskiej, ogłasza głośno swój tryumf, nie baczy na dziewięćdziesiąt dziewięć głów pozostałych, które gotują zwycięzcy krwawy odwet.

Krasiński inną gotuje zemstę: spisek chrześcjański, aby Roma nigdy nie zakwitła na żadnym zakątku ziemi, aby nie było jak świat szeroki ani jednej głowy, gdzieby myśl o Romie zwycięskiej i miażdżącej mogła uchodzić za piękną. Zemsta to cicha, rozłożona na wieki, cierpliwa, bogobojna, z utkwionym w niebie obliczem, rozmodlona i przemianowana. Ucina ona nie jedną głowę hydrze, lecz wszystkie: zabija odwet. Potem obejmuje i przytula do serca świat — przeistoczony. Jest to zemsta, wobec której zawziętość Wallenroda jest niewinną, a jego walka i zwycięstwo — grzmiącą igraszką rycerską.

Tu się objawia Krasiński: jako nauczyciel długiej, wiekowej walki *milczkiem*, w kapturze, bez fanfar i błyskotek, bez jaskrawych kolorów i wybuchów, i jako człowiek, w którego piersiach tlały głęboko namiętności tak zajadłe, że, gdy wychodziły na jaw, trzeba je było *przeanielać*, aby poczciwi ludzie nie kamienieli ze zgrozy.

V.

Ponieważ Irydjon jest nietylko mścicielem — Krasiński, gdyby chciał, mógłby go równie dobrze nazwać człowiekiem, prostującym ścieżki Pańskie,— więc nie obeszło się bez pewnego *spotwarzenia* tej postaci przez poetę. Uznał go Krasiński za człowieka zemsty. To pojęcie zemsty, mordu, zaostrzonego apetytu będzie stawiał on zawsze, gdy chodzi o typ, wydzierający się z bezwładu, chcący na własną rękę regulować sprawę między przeszłością a przyszłością. Przyszli badacze Krasińskiego będą mieli do spełnienia ciekawe zadanie: rozciąć tę mgłę, która otacza twarde jądro tego człowieka, mgłę, utkaną z łez, z przędzy czułych słów, z promyków i aureoli niebiańskiej i przekonać siebie i innych, że istota tego poety, jego głąb, zakryta tęczami poetyckiemi, była nieugięta i okrutna.

VI.

W latach młodzieńczych, kiedy pisał „Nieboską Komedję", wzniósł się we własnym przekonaniu do wyżyn bohaterskich. Zaparł się siebie, przemógł swój wstręt i dał postać „człowieka przyszłości" — Pankracego, równą co do dostojeństwa hrabiemu Henrykowi. W istocie jednak tak nie jest. Cały ten słynny djalog między hr. Henrykiem a Pankracym jest monologiem. Gdy hr. Henryk kończy swą tyradę w obronie blasków przeszłości, przeistacza się w Pankracego, który patrzy na przeszłość z jej strony ciemnokrwawej. Krasiński widział tylko przeszłość jako kształt świetny, lecz już rozpadający się, teraźniejszość w postaci gnijącej kałuży i przyszłość w postaci zimnej i odpychającej mgły. Jakże z tej mgły mógł utkać żywego człowieka — nie pozór? nie widmo? nie upiora? Pankracy jest tylko pozorem. W istocie hr. Henryk umiera dwa razy: raz — jako arystokrata — po przegranej rzuca się ze skały i ginie jako samobójca, — po raz drugi umiera jako chrześcjanin, w którego sumienie zajrzała światłość Chrystusowa.

Lecz nawet ten pozór życia, ta cząstka sumienia arystokratycznego w piersi trybuna ludu okaże się dla Krasińskiego zbyt wielkim ustępstwem. Będzie on spędzał Pankracego coraz niżej, napiętnuje go jako brud, rzeź i podłość. W późniejszym o wiele od Nieboskiej Komedji „Niedokończonym poemacie" Pankracy jest już nędznikiem, którego trzeba wyświecać z uczciwego towarzystwa

Leon Choromański.

„Kobieta bez skazy".

Pani Gabrjela Zapolska już oddawna wkroczyła na tę drogę, po której dziś idzie w swych sztukach scenicznych. Jest to droga cierpliwego i drobiazgowego obnażania ran i podłostek światka mieszczańskiego i finansów. Autorka grzebie się w tych śmieciach rozkładu z wielkim zasobem spostrzegawczości i z nieugiętą wytrwałością, w której jest zarówno bolesny przymus, jak perwersyjna lubość. Ból, że człowiek jest *takim* właśnie łączy się w p. Zapolskiej z poczuciem odrazy i rozkosznego podniecenia, że nie jest inny. Zapolska wraca do nienawistnych mieszczan jak do alkoholu: nietylko ją napawają wstrętem, lecz i upajają. Światek to nieznośny, lecz trudnoby było autorce żyć bez tego światka który ją pobudza i elektryzuje. W p. Zapolskiej jest pewne rozmiłowanie się w tem, co odpycha oburącz i potępia.

Z namiętnego zapatrzenia się p Zapolskiej w światek nienawistny i miły zarazem wypływa jej niepospolite bogactwo szczegółów i szczególików. Idzie przez jej sztuki prąd namiętności, która je czyni żywymi Lecz że ta namiętność jest zawsze jednaka, zawsze się składa z elementów wstrętu i perwersyjnego pociągu, więc sztuki p. Zapolskiej są do siebie mocno podobne.

„Kobieta bez skazy" — jest jakby ciągiem dalszym „Panny Maliczewskiej". Tam pokazała autorka mężów—jak się bawią poza domem, nabywając za pieniądze biedne dziewczyny, które potym spa-

dają coraz niżej. Są tam mężowie rodzajem pasożytów, pod których mackami więdną dziewczęta z klas pieniężnie upośledzonych. W „Kobiecie bez skazy" pokazuje autorka, jak się pocieszają tymczasem żony tych mężów w towarzystwie kochanków i podrażniaczy płciowych. O szczególniejszej nieprzyzwoitości tej sztuki, która jakoby sprawiła pewnym recenzentom bolesną niespodziankę — nie może być mowy. Poprostu — autorka odwróciła nieco swój reflektor i oświetliła dalszą grupę tego samego światka, co w „Pani Dulskiej" lub „Pannie Maliczewskiej. Jeżeli chodzi o oddanie zapędów erotycznych w światku zamożnej burżuazji, to z pewnością niema w tej sztuce przesady ani w sytuacjach ani w ich charakterze. Po sztuce — oprócz całego zastępu erotycznego drobiu wałęsa się typ erotycznego doktrynera i mistrza uwodziciela — ze szkołą i zasadami — Halskiego oraz kobiety nieskazitelnej, która wistocie okazuje się tylko większą wirtuozką w trudnej sztuce, lecz ostatecznie przegrywa, bo w „miłości" nie umiała się stać naprawdę prostą i jasnowidzącą.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Sprawa Macocha... i innych. Dnia 27 lutego zasiedli w Piotrkowie na ławie oskarżonych b. ojcowie Paulini: Damazy Macoch, Izydor Starczewski i Bazyli Olesiński...

Lecz nie zasiedli sami.

Poza ich plecami stanął zwarty tłum tych, w których wyrok pośrednio tylko uderzy, których jednak pewne szczegóły sprawy *à priori* przejmują strachem tak dalece, że starali się już wszelkie sprężyny poruszyć, by zarządzić tajność rozpraw przy drzwiach szczelnie zamkniętych.

Ta kompromitująca krzątanina, te rozpaczliwe zabiegi budzą zdziwienie nawet w *Kurjerze Warszawskim*, który w przeddzień procesu wyjawił, że „znalazły się w Galicji (!) pewne katolickie koła społeczne, które pragnęły oddziałać na prasę, aby sprawozdanie z procesu zredukowano w dziennikach do minimum, lub ich zgoła nie drukowano i że znalazł się jeden czy dwa dzienniki, które podzieliły narzucone im argumenty."

Mimo całej swej pobożności *Kurjer Warszawski* argumentów owych nie „podzielił", woląc narazić się na gniew dygnitarzy kościelnych, niż na dotkliwe upośledzenie wobec szczęśliwych swoich... konkurentów, co nie dbając o klątwy śpieszą zapełnić swoje szpalty sążnistą ze sprawy [illegible]

Ustaliwszy tedy z godnością, że „prasa ma nietylko prawo, lecz prosty obowiązek dokładnego zdawania sprawy z procesu", i chcąc udobruchać skwaszonych mentorów, śpieszy zapewnić „że ci, którzy oczekują tu „sądu nad duchowieństwem katolickim" omylą srodze swe złośliwe nadzieje.

> Już z dotychczasowych danych jasno wynika, że sąd piotrkowski będzie miał przed sobą jedynie i wyłącznie Macocha i kilku towarzyszów, a sąd opinji — pospolitych zbrodniarzy, na tle ich przypadkowej działalności zupełnie odosobnionych."

Atoli z „dotychczasowych danych" wynika dość jasno wniosek wręcz przeciwny. Macochowa zbrodnia — to nie dzieło „pospolitych zbrodniarzy", lecz *katastrofa*, pęknięcie podstaw całego gmachu, który w murach swoich krył długo czynniki strasznego rozprzężenia.

Żadne, najbardziej kunsztowne usiłowania nie wyrwą sprawy Macocha z kadrów całego środowiska; nieszczęściem i zgrozą serc wierzących, którym szczerze współczuć należy, jest właśnie to, że postać zbrodniczego mnicha i jego towarzyszy rysuje się z przerażliwą jaskrawością na tle umiłowanej Jasnej Góry, która oto z najgórniejszej u nas wyżyny świętości zaszła niejako na podnóżek mordercy i złodzieja.

To też klerykalny *Dziennik Powszechny* bardziej od świeckiego swego kolegi szczery, a może mniej oględny, woła ustami p. Miecznika.

> Macochowa zbrodnia to nie jedna z wielu — to wyjątkowa zbrodnia. Wyjątkowy też nad nią sąd będzie.

I rzucając w kąt względy i zastrzeżenia, z których inni jeszcze nie rezygnują, organ p. Dworzaczka zapewnia:

> Wiemy wiele, ale chcemy wiedzieć wszystko, wszystko
>
> I będziemy wiedzieć, nie ukryją i nie ukryje się przed nami nic.
>
> My nie chcemy nic ukrywać!

Oto chwalebne zaiste intencje! Tym chwalebniejsze, że idą w poprzek wytrwałym zabiegom kleru, żeby drzwi sądu zatrzasnąć, zaś adwokatom założyć knebel na usta, wskutek czego wielu z nich zrzekło się udziału w procesie piotrkowskim. Nie zrzekł się go nieunikniony p. Korwin-Piotrowski, autor dedykowanego Papieżowi apologetycznego dzieła *O Jezuitach*. Pan Korwin-Piotrowski zgłosił w pierwszym dniu wniosek sądzenia sprawy przy drzwiach zamkniętych, co nie zostało jednak uwzględnione.

Tymczasem nieoceniony p. Miecznik sadza już na ławie oskarżonych cały klasztor Jasnogórski, wszystkich oo. Paulinów; bał zawczasu ich nawet i w rumel skazuje:

> A jednak winni są dlatego, że się wśród nich stali możliwi ci: Macoch, Starczewski i Olesiński — zbrodniarze i złodzieje.
>
> Czy tylko tyle? Na sądzie może się okazać jeszcze coś więcej, coś, co równa się zbrodni... Przeczulonego ucha Polaka czepiają się rozmaite przypuszczenia: zagranica o niektórych już pisze.
>
> Wszystko, co niejasne—sąd uczyni jasnym.
>
> I sukienka i wota, zerwane z obrazu Najświętszej Panny... I nic niewiadomo, kto zerwał.
>
> Ten Załóg przepadł bez wieści. Przepadł, jak kamień w wodzie!...
>
> *Macochowa zbrodnia — to tylko jedno, największe ogniwo całego łańcucha potwornych tajemnic*. Sąd ma tajemniczy ów łańcuch rozerwać, ogniwom się przyjrzeć i powiedzieć całemu światu: [illegible]
>
> I sąd to, chcemy wierzyć, uczyni.

Dość! Naród nie chce być dłużej tumaniony. Oto różne eunuchy strzegące seraju Opinji, gotują jedwabne sznurki, by prawdę gdzieś w kącie zadławić i chyłkiem pochować. A my powtórzymy wślad za *pismem katolickiem* zdanie, być może w przystępie szczerości nieoględnej wyrzeczone, tymbardziej przecież złowrogie i znaczące: „Macochowa zbrodnia — to tylko jedno, największe ogniwo całego łańcucha potwornych tajemnic!"

Lecz kiedy *Dziennik Powszechny* kończy okrzykiem potępienia:

To też winni są o. Rejman i winni zakonni bracia jego, winni będą, choć im sąd za winę tego nie poczyta

Winni moralnie przed całym polskim społeczeństwem.

— musimy ze swej strony, my wolni myśliciele Polacy, ująć się za ludźmi przywalonymi ogromem klęski i pogardy, ludźmi, których poziom umysłowy i moralny wprawdzie niższy jest od normy przeciętnej, ale w których złe instynkty i możność czynienia przestępstw bezkarnych rozpętał *system* kościelny, ów system opłakany zupełnej nieodpowiedzialności, bezwzględnej samowoli, sybarytyzmu i próżniactwa pośród naiwnej czci prostaczków, intymnego zaufania kobiet, bogactw i dochodów niekontrolowanych, po które dość schylić się, by pełnymi czerpać je garściami.

Nie *ludzie* więc stoją tu pod sądem opinji, lecz *system*. Macoch jest produktem swego środowiska. *Macochizm* sięga socjologicznie w głąb kasty duchownej, w sam rdzeń hierarchji kościelnej. I nic dziwnego, że kler uląkł się prawdy: wyrok uderza weń pośrednio, lecz nieodwołalnie.

Słusznie więc z tego powodu pisze *Goniec*.

> Staje przed sądem z pośród braci zakonnej nie jeden winowajca, jak utrzymywano dawniej, lecz trzech. Nie chodzi o jedną zbrodnię, lecz o parę i niejednego rodzaju. Nie potrzeba chyba dowodzić, że okoliczność ta w wysokim stopniu podnosi zbiorową odpowiedzialność środowiska, w którym tak bujnie rozwinęły się chorobotwórcze zarazki.

Dziś nie ulega wątpliwości, że środowisko Damazego Macocha jest demoralizujące i zdemoralizowane do szpiku kości. Gnuśny sybarytyzm rozkładał się tam wygodnie w warunkach synekury, otoczonej czcią niezasłużoną

> Rzecz bardzo ważna, a przemilczana wytrwale — mało budujący *modus vivendi* zakonników częstochowskich nie był wcale tajemnicą dla ludności miejskiej, a właściwie i dla całego kraju. Ale, jak często u nas bywa, opinja nie przyjmowała oczywistych faktów do wiadomości. Stworzyła dobrowolną fikcję i trwała w niej uporczywie. Miała przed sobą doniosłą kwestję, lecz odwracała od niej oczy i odsuwała ją.

Dziś kwestja ta wypłynęła już w formie ogłuszającego skandalu, który powinien wreszcie przemówić do serc i umysłów społeczeństwa.

*** *Ośla łąka*. *Dzień* o „Wielkiej cesarzowej Chin":

> „Prowadziła zdrowy i rozumny tryb życia. ...Wiele opowiadają w Pekinie o niesłychanych orgjach, jakim się cesarzowa wdowa oddawała wraz ze swoim ulubionym rzezańcem w prześlicznym pałacu letnim."

*** *Dokumenty „Słowa"*. W jednym z warszawskich tygodników pomieszczono spis gazet i pism, jakie prenumeruje dla swych członków pewne Staszicowskie kółko w Lubelskiem. Dokument nieoceniony! — woła *Słowo* i ze zgrozą wylicza:

— *Zaranie* (6 egz.) — *Głos Wiary* (to jeszcze ujdzie) — *Myśl Niepodległa* — *Prawda* — *Kultura Polska* — *Wolne Słowo* — *Izraelita* — *Kurjer Lubelski*...

— Umiejętnie wybrany pokarm, ani słowa! — woła sarkatycznie organ realistów.

Musimy ukoić jego nerwy prostą uwagą, że wyliczone wyżej pisma stanowią jedyny odłam prasy, który darzy kółka Staszicowskie szczerą sympatją, czego o innych organach powiedzieć nie można. *Izraelita* zapewne jest *gratis* przysyłany, a *Głos Wiary* witany w tym spisie przez *Słowo* jako „najbardziej normalne" zjawisko, jest pewnie owym wyjątkiem, co potwierdza regułę.

Ciekawą jest rzeczą, jaki „stosowniejszy" pokarm dla kółek Staszica wybrali by pp. realiści..? Kiedy Macoch słał gniazdko dla swej „Lali" to zaprenumerował dla niej... tylko — *Kurjer Warszawski*.

Włościanie Staszicowscy mają gusta odmienne.

*** *Uwertura do czwartej Dumy*. Zabiegliwe *Słowo* w zeszłym już tygodniu poczęło krzątać się koło nowych wyborów. Pośpiech realistów hamuje *Kurjer Poranny* słowami wieszcza:

> Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie!
> Jeszcze północ mrozem dmucha,
> Z gór białe nie zeszły pleśnie,
> Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Istotnie pierwiosnek *Słowa* wywołuje pewne zdziwienie. Rozprasza je p. Liber w końcu swoich sążnistych wywodów.

> Sens pięciu szpalt p. Libera okadzających naszą reprezentację poselską tłómaczy się dopiero należycie w samym ogonku zawadzającym o szpaltę szóstą. Brzmi on dosłownie jak następuje: „Dla stworzenia... laboratorjum w Petersburgu potrzebne są fundusze. Kto ma ich dostarczyć? Nie tych chyba jedenastu posłów, którzy na ołtarzu dobra publicznego składają już przecie coś więcej niż pieniądze, bo swoją pracę, spokój, zdrowie. Potrzebne fundusze powinno, musi złożyć społeczeństwo" Mamy zatym do czynienia z wyraźnym exposé nowego „wspólnego ministra skarbu" polityki realnej i niedobitków narodowej demokracji Unja personalna obu tych stronnictw nigdy jeszcze nie została proklamowana tak dobitnie.

Należy to przyjąć do wiadomości — kończy *Kurjer Poranny* — może to i dobrze, że dowiadujemy się o tym — tak wcześnie.

Z prasy rosyjskiej.

*** *Rzym, Byzancjum i Polska*. Prof. A. Pogodin należy do tych nielicznych obecnie Rosjan, którzy za pierwszy warunek życia normalnego w państwie mają zniesienie ucisku na kresach obcoplemiennych. Że tacy Rosjanie są dziś nieliczni — dziwić się nie można... Niezrażony jednak Pogodin woła w dalszym ciągu, że mu „wstyd takiej państwowości, która prześladuje nauczanie języka ojczystego" i przepowiada, że „Rosja zapłaci kiedyś za to okropne zło, które rękoma wpływowych nacjonalistów sprawia tym wszystkim, co, mówiąc słowami hr. Wittego „mają zaszczyt należeć do państwowości rosyjskiej".

> Gdyby w społeczeństwie rosyjskim istniał żywy protest przeciwko gwałtom nad „obcoplemieńcami", przeciwko tym wszystkim prawom, skierowanym przeciwko żydom, Finlandczykom, Polakom i innym, przeciwko projektowi chełmskiemu, to przynajmniej nie ponosiłoby ono odpowiedzialności za te uczynki, podyktowane nienawiścią.

Cytując te słowa *Głos Warszawski* wzdycha obłudnie: „niestety — w społeczeństwie rosyjskim wszystkie prawa, skierowane przeciwko „obcoplemieńcom" spotykają się tylko z aplauzem". Organ N-D-cji zdaje się nie pamiętać o własnych wytrwałych usiłowaniach, by częściowo przynajmniej wziąć udział w orgji gwałtów i ograniczeń, czego świeżym uwieńczeniem była słynna deklaracja p. Jarońskiego.

Gdyby politycy z obozu N-D-cji cieńszą mieli skórę, toby zapewnie nie cytowali z uznaniem słów, którymi prof. Pogodin, humanitarysta i liberał, potępia srożący się dziś po całej Rosji duch endecki:

O kwestjach, które dotyczą bynajmniej nie polityki, ale zwykłego chrześciańskiego (i nawet nietylko chrześciańskiego) humanitaryzmu debatuje się u nas z zimną krwią i rozważa się, jakie korzyści lub szkody dać mogą coraz nowe gwałty. Za zło, które czyni Rosja współczesna, prędzej czy później naród rosyjski zapłaci.

Obłuda — ktoś rzekł — jest hołdem, który występek składa cnocie. Naszych nacjonalistów stać tylko na obłudę — i ta winna być im za najwyższą cnotę poczytana.

— „Jeśli—ciągnie dalej prof. Pogodin — beznadziejnie obojętni jesteśmy dla dobra, beznadziejnie leniwi i niedbali—to niema miejsca dla żadnej nadziei na lepszą przyszłość. Jeśli jednak w społeczeństwie rosyjskim zaczyna powstawać poczucie, jak wstrętne są stosunki moralne w których żyje ono, ów ucisk ras, języków i narodów, powszechne lenistwo, rozpusta, łapownictwo i kradzieże — wówczas powinien znaleźć się sposób uzdrowienia mas ludowych".

Za źródło takiego uzdrowienia prof. Pogodin uważa ruch religijny, wolny od ortodoksji kościelnej i od ingerencji Państwa. Póki to nie nastąpi, cerkiew tracić będzie swych wiernych ustawicznie.

W dyskusji, jaka się wywiązała na tle wywodów Pogodina, zabrał też głos polski, a raczej papieski hrabia Moszyński. Byłoby dziwnym, gdyby poważna jaka sprawa obejść się mogła bez popisu naszych „hrabiów-oryginałów", w rodzaju Moszyńskich, Orłowskich, Tyszkiewiczów, Milewskich etc. Tedy zdaniem światłego hrabi, jedynym czynnikiem moralnego odrodzenia Rosji są te w niej żywioły które

szczerze, bez żadnego celu politycznego przyznały władzę następcy św. Piotra — papieża rzymskiego.

W przeciwnym razie — ostrzega gorliwy hrabia — Rosji grozi zagłada, bowiem hierarchja duchowna jest w tym państwie „głównym źródłem niewiary, niezrozumienia prawd objawionych, wartości porządku i wolności, zbudowanej na gruncie prawa i sprawiedliwości."

W świętym szale prozelityzmu omieszkał hrabia Moszyński dodać znacząco, że w katolickiej Rosji stałaby się Polska li tylko nieznaczną i pokorną parafją. Ze swej strony musimy przypomnieć gorliwemu hrabi, że hierarchja rzymsko-katolicka także nie jest wolną od tych samych zarzutów, jakie zwalono tu na głowy „schyzmatyków" wschodnich. A gdyby hrabia stał nie na papieskim, lecz na polskim gruncie, toby taki w końcu swoich wywodów położył wniosek: stan rzeczy zmieni się na lepsze, gdy Rosja przyjmie katolicyzm, a Polska go się pozbędzie.

KRONIKA.

OBCHÓD KU CZCI KOŁŁĄTAJA. We środę dn. 28 lutego Wszechnica Krakowska urządziła obchód Kołłątajowski.

Rano za inicjatywą szerzycielki spółczesnej wiedzy odbyły się tradycyjne... modły za duszę wielkiego męża w kościele św. Anny.. W południe nastąpiło uroczyste zebranie w auli wszechnicy. Na obchód zaproszono Akademję Umiejętności, Towarzystwa naukowe: warszawskie, wileńskie i poznańskie i grono miłośników Kołłątaja. Program wypełniły: kantata do słów dr. K. Lubeckiego, do muzyki Michała Świeczyńskiego (odśpiewał chór akademicki pod dyrekcją B. Wallek-Walewskiego); przemówienie prezesa Towarzystwa filozoficznego; przemówienia reprezentacyjne; odczyty: Helena Radlińska — „Kołłątaj jako pedagog", prof. M. Straszewski — „Kołłątaj jako filozof"; *Gaude Mater Polonia* (hymn), polonez „Trzeciego maja" — odśpiewał chór akademicki.

LUDNOŚĆ ŚLĄSKA AUSRTRYJACKIEGO. Spis ludności na Śląsku austryjackim przeprowadzony ostatniego grudnia 1910 r. wykazał wedle ukończonych obecnie obliczeń 756,948 mieszkańców, z czego niemców 325,518, polaków 235,224, czechów 180,332, innych narodowości 361. Stosunek narodowościowy przedstawia się procentowo następująco: Niemców 43.04%, Polaków 31.06%, Czechów 23.73%. Wedle wyznania: 639,730 (czyli 84%), katolików 102.749 (czyli 13%), ewangelików i 13,442 (czyli 1.77%) żydów

Jednak liczby odnoszące się do ludności polskiej, są niegodne wiary, gdyż zostały przeprowadzone na naszą [illegible] i niemieckich „hakatystów"

ADWOKATURA W KRÓLESTWIE POLSKIM. Według najnowszych statystycznych danych Królestwo Polskie liczy ogółem 726 adwokatów przysięgłych z których znakomita większość, bo 469, mieszka i praktykuje w Warszawie.

Na prowincji jest ogółem 257 obrońców przysięgłych, z czego na miasta guberjalne przypada 150, na Łódź — 43 [illegible]

Z miast gubernjalnych najwięcej adwokatów przysięgłych ma Lublin — 29, potym idzie: Piotrków — 26, Radom — 21, Kalisz — 20, Kielce — 18, Siedlce — 12, Płock — 9, Łomża — 8 i Suwałki — 7.

Ogółem na 116 miast Królestwa Polskiego poradę prawną na miejscu posiada zaledwie 50 miast...

Pomocników adwokatów przysięgłych jest w Warszawie [illegible]

W tym samym czasie Galicja, znana ze swej „nadprodukcji" wolnych zawodów, posiada nieomal w dwójnasób liczniejszą adwokaturę mimo, iż liczy o 5 miljonów z górą mniej mieszkańców, niż Królestwo.

W OBRONIE ZAGROŻONEGO GHETTA. Wskutek rosnącego coraz bardziej uświadamiania się kulturalnego szerokich mas ludności żydowskiej nastąpił w ostatnich latach znaczny, wprost gwałtowny, upadek chederów i Talmud Tor w Królestwie Polskim. Wyrazem tego był gwałtowny upadek frekwencji zwłaszcza w rygorystycznych wielce Talmud Torach.

Te objawy wywołały wśród żydowskich sfer klerykalnych poważne obawy na przyszłość. Celem „poprawy" stosunków na tym polu, utworzył się wedle doniesień pism warszawskich Komitet centralny chasydów i ortodoksów w Warszawie, który objął przedewszystkim pieczę nad istniejącymi Talmud Torami.

Dotychczas komitet ten objął pod swą opiekę 7 takich szkół, w których uczy się 4,000 chłopców bezpłatnie, a z tych 600 otrzymuje także żywność i odzież. Pozatem komitet otworzył 2 bezpłatne chedery wieczorne dla dziewcząt. Zasoby czerpie komitet z ofiar, mając 4,000 puszek w mieszkaniach żydów pobożnych. Komitet postanowił też zwrócić się z odezwą do pozostałych Talmud Tor, żeby co rychlej przeszły pod władzę komitetu centralnego.

Książki nadesłane do Redakcji:

Józef Weyssenhoff: „Z n a j p a n a". Nowele.—(Spis rzeczy: Znaj pana—Pani Teodora—Pod piorunami Wyroki—Dwa sumienia). Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i S-ka. Str. 165. Cena rb. 1 kop. 50.

Władysław St. Reymont: „A v e P a t r i a" — (Spis rzeczy: Ave patria—Lili—Burza — Tęsknota — W palarni opjum—Sielanka—Los toros—Ostatni) Piąty tysiąc. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i S-ka Str. 341. Cena rb. 1 kop. 50.

Aleksander Świętochowski: „Ź r ó d ł a m o r a l n o ś c i". Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i S-ka. Str. 302. Cena rb. 2.

Stanisław Ostrowski: „W i e l k i R o k". Powieść na tle 1812 r. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i S-ka. Str. 355. Cena rb 1 k. 50.

Bolesław Gorczyński: „N a t r o p i e t r u c i z n y". Romans. Warszawa, 1912 Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat". Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie. Str. 334.

Wincenty Rapacki: „H a n z a". Powieść z XV wieku z 6-ciu ilustracjami. Warszawa, styczeń 1912. „Ciekawe Powieści" Nr. 25. Nakład Gebethnera i Wolffa Kraków: G. Gebethner i S-ka. Str 186.

Wincenty Lutosławski: „N a d r o d z e k u w i e l k i e j p r z e m i a n i e". Z przedmową autora. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków: G. Gebethner i S-ka Str. 342. Cena rb. 1 kop. 80.

Julian Eismond. „B a j k i i p r a w d y". Warszawa, „Bibljoteka Dzieł Wyborowych" Nr. 727. Str. 132. Cena 40 kop.

Wiktor Dzierżanowski: „N a m j e n o s z u m y z w i a s t u j ą w i o s n ę". Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 212.

Aleksandra Szczzyńska: „W r o g o w i e". (Treść: Wrogowie—Lazzarone—Jej imię—Brzemię—Zemsta bogini—Jesień—Najmilsze kochanie—Dziwy—Anna — Chrzciny—W szkole. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Str. 320. Cena rb. 1 kop. 50.

Lwów. Krótki przewodnik po Lwowie i okolicy. Z planem i 13 ilustracjami. Nakładem Kraj. Związku Turystycznego w Krakowie. Str. 64. Cena 25 kop.

Myśl i Życie — Miesięcznik poświęcony postępom filozofji i wiedzy w związku z zagadnieniami życia pod redakcją W. M. Kozłowskiego. Nr. 1. Warszawa, styczeń 1912 r. Nakład księgarni M. Arcta. Str. 32. Cena 25 kop.

Sfinks — Miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Zeszyt 47 i 48. Warszawa, listopad i grudzień, 1911. Str 168 i 168 Cena pojedyńczego zeszytu rb. 1.

OFIARY.

Na kursy gospodarskie w Kruszynku p. A. Ż. z Odesy rb. 5.

Na szkołę gospodarską w Sokołowku p. A. Ż. z Odesy rb. 5.

Na fermę dla dziewcząt w Gołodczyźnie p. A. Ż. z Odesy rb. 5.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół polskich. Składki od następujących pracowników T-wa Nikopol. Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 3, S. Hegner rb. 2, G. Cywiński rb. 2, J. Tomaszewski rb. 1, S. Pilarski rb. 1, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, R. Świetliński kop. 75, G. Popiel kop. 50, L. Czajkowski rb. 1. Ogółem rb. 52 kop. 25.

P. A. Ż. z Odesy rb. 10.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

wraz z bezpłatnym dodatk:

W Warszawie miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz. do domu.

Z przesyłką poczt. do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmu[illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub [illegible]dostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej tre[illegible] po kop. 20 za wie[illegible] garmontowy jednosz[illegible]towy lub jego miej[illegible] (strona ogłoszeniowa [illegible] zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmuje administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.